

Władysław Wojtaszewski

Żołnierska przygoda. Wspomnienia z misji pokojowej ONZ na Bliskim Wschodzie

Przegląd Historyczno-Wojskowy 12 (63)/5 (238), 225-229

2011

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

ŻOŁNIERSKA PRZYGODA. WSPOMNIENIA Z MISJI POKOJOWEJ ONZ NA BLISKIM WSCHODZIE

Zacząło się od wojny Egiptu i Syrii z Izraelem w październiku 1973 roku i żmudnych rozmów pokojowych prowadzonych pod egidą Organizacji Narodów Zjednoczonych. (...).

Liczący około 1300 ludzi i 800 pojazdów kontyngent polski, czyli Polska Wojskowa Jednostka Specjalna (Pollog) prowadziła szpital wojskowy oraz wykonywała zadania logistyczne. Świadczyła usługi transportowe, a także wykonywała prace inżynierskie w szerokim zakresie: rozpoznanie terenu strefy buforowej, wykrywanie i niszczenie min i niewypałów, oczyszczanie i uzdatnianie wody, odpiaszczanie, remont i budowa dróg, budynków oraz instalacji wodno-kanalizacyjnych i elektrycznych.

Bardzo chciałem polecieć do Afryki i na Bliski Wschód. Miałem 41 lat, byłem podpułkownikiem w sztabie 12 Dywizji Zmechanizowanej w Szczecinie. Trapił mnie głód poznania świata. Propozycję wyjazdu przyjąłem z radością. Pół roku przygotowań, badania lekarskie, kurs języka angielskiego, seria profilaktycznych zastrzyków. Wreszcie w listopadzie 1975 roku samolot Il-18 wystartował z lotniska w Goleniowie i w ciągu niespełna pięciu godzin pokonał 3 tys. km. Znalazłem się na płycie lotniska w Kairze. Niebo bez jednej chmurki, temperatura 28°C – nasz lipiec. Wokół ziemia o barwie rudawobrazowej.

Autokary przewiozły nas 120 km pustynną drogą do Ismailii. Tu, w dawnej angielskiej bazie wojskowej Al Ghala, wspólnie z Kanadyjczykami mieliśmy spędzić najbliższe pół roku.

W Al Ghala mieściło się dowództwo, sztab i główna baza logistyczna polskiego kontyngentu. Dowódcy Pollogu podlegały: Polski Szpital Polowy w Ismailii, grupa wydzielona w Syrii na wzgórzach Golan, kompania logistyczna w Suezie oraz wysunięta baza logistyczna na Synaju.

Rotacja odbywała się co sześć–siedem miesięcy. Przed nami były już na Bliskim Wschodzie cztery zmiany. Byliśmy zmianą piątą, więc przybyliśmy niejako na gotowe, przygotowane przez poprzedników miejsce. Ludzie ogólnie byli wspaniali, odpowiednio w kraju wyselekcjonowani, ochotnicy. Była to w 50% uzawodowiona elita polskiej armii. Dowódcą jednostki był płk dypl. Marian Wiczerzak, oficer światły, doświadczony (zaliczył już misje w Korei i w Wietnamie), wymagający, niekonfliktowy, powszechnie szanowany. Szefem sztabu był ppłk dypl. Jerzy Majewski, doskonały organizator, obowiązkowy, uczciwy, pracochoлик.

Obóz Al Ghala przypominał małe miasteczko garnizonowe w kraju: uliczki oznaczone tabliczkami z polskimi nazwami, z głośników płynęła polska muzyka, na maszcie obok flagi ONZ łopotała polska biało-czerwona, hotel oficerski „Piramida”, klub „Sfinks”, kawiarnia „Gryf”, rozgłośnia radiowa „Słońce” oraz piekarnia polowa, kuchnia, stołówka, różne magazyny, łaźnia, pralnia wodna i chemiczna, poczta, stacje uzdatniania wody, punkty: fryzjerski, krawiecki i fotograficzny, prasownia, biblioteka, amfiteatr, kino letnie, boiska sportowe itp. Właściwie wszystko to, co być powinno.

Zaraz po przybyciu do Al Ghala oprowadził mnie po tym „gospodarstwie” kmdr Pius Kasprzak z Gdyni, od którego przejmowałem obowiązki. Przekazał mi też samochód bez kierowcy, wielofunkcyjną nysę, za której kółkiem, w warunkach powszechnego nierespektowania zasad ruchu drogowego, przejechałem w Egipcie ponad 15 tys. km bez wypadku. Funkcja moja w nomenklaturze ONZ nazywała się Welfare Officer, co w wolnym tłumaczeniu oznaczało oficer socjalny. Wypełniałem jak mogłem najlepiej czas wolny żołnierzy polskiego kontyngentu. Nawet mi się to udawało.

Po przekazaniu obowiązków kmdr Kasprzak przygotował kolację pożegnalną w grupie oficerów. Był duży indyk gotowany w rosole z przyprawami i niezwykle smaczny chleb z polowej piekarni. My, świeżo przybyli z kraju, wnieśliśmy polską „Żytnią”. Dyskusja trwała do rana.

Największym skarbem polskiego kontyngentu byli ludzie. Znakomici żołnierze, praktycznie realizowali hasło „Polak potrafi”. Pracy było dwa, trzy razy tyle co w kraju. Dlaczego? Bo mniejsza liczba żołnierzy musiała wykonać więcej zadań. Musieliśmy systematycznie dostarczać do rozlokowanych na pustyni kilkudziesięciu posterunków obserwacyjnych wodę, paliwo i różne niezbędne materiały.

Była to praca ważna, praca, której nie można było nie wykonać, której nie mogliśmy odłożyć do jutra, w której musieliśmy wykazać hart ducha i ciała oraz wysokie kwalifikacje i sprawność organizacyjną. Terminy były zawsze te same i jednakowo brzmiące: „na wczoraj”, „natychmiast albo jeszcze szybciej”. Nikt nie patrzył na zegarek, na porę dnia, ani dzień tygodnia. Było ciężko fizycznie i trudno psychicznie.

Dla transportowców męczarnią był Kanał Sueski. W pięciu miejscach, wzdłuż kanału, urządzone były przeprawy pontonowe. Aby nie utrudniać żeglugi, przeprawy otwierano na dwie–trzy godziny, przeważnie nocą. Egipcjanie zbytnio nie przejmowali się ustalonymi codziennie przez siebie terminami. Regularnie przed przeprawą trzeba było swoje godziny wyczekać na brzegu i powtórzyć tę „przyjemność” w drodze powrotnej.

Saperzy nasi stale działali w sytuacjach stresowych. Nie tylko przy rozminowywaniu terenów wokół posterunków obserwacyjnych, ale także ścieżek dla patroli i dróg dojazdowych. Inny wymiar miało porzekadło, że: „saper myli się tylko raz”. W okresie wiosennym nieustannie odpiaszczali pustynne drogi z zasp tworzonych przez burze piaskowe. Bywało, że po wielogodzinnej pracy spychaczy i innych maszyn drogowych meldowano, iż droga jest znów przejezdna, a nocą przyszedł chamsin i zaczynało od nowa. Zdarzało się, że wichher pustylny razem z piaskiem przesuwiał miny przeciwpiechotne na teren uprzednio już rozminowany i uważany za bezpieczny.

Ze zdwojoną energią pracowali w obozie żołnierze kompanii remontowej – „złote rączki”, dla których nie było rzeczy niemożliwych. Samochody wracały z pustyni w opłakanym stanie, a nazajutrz musiały znowu wyruszyć w drogę, z wodą do strefy buforowej. Jeżeli brakowało części zamiennych, to spawano, lutowano, kuto, wytaczano, szlifowano i następnego dnia samochód był gotowy do drogi. Dokonywano istnych cudów. Nerwy puszczały, gdy wiadomo było, że nowe części zamienne ze Starachowic są na miejscu, nieopodal, na polskim statku, który je przywiózł z kraju, ale już kilka tygodni stoi na redzie i oczekuje na pozwolenie wejścia do portu.

Sytuacji stresowych było wiele. Dochodziły napięcia psychiczne powodowane rozłąką z rodziną i bliskimi, zmianą klimatu, pożywienia, warunków bytowania, koniecznością adaptacji do nowego życia. W zasadzie wszystko było inne niż w kraju.

Egipt terytorialnie jest trzy razy większy od Polski, a 95% powierzchni stanowi pustynia. Słońce też jest inne niż w Polsce. Świeci prostopadle, nie daje cienia, pali żarem, ale opalenizny na skórze nie pozostawia, wschodzi i zachodzi bardzo szybko. Nastają prawdziwe egipskie ciemności, wobec których polska noc jest tylko szara. Przez większą część roku temperatura na pustyni waha się od 40 do 55°C w dzień, a w nocy spada nawet do 0°C. Od stycznia do maja występuje chamsin, czyli burza piaskowa. Wiatr pustylny unosi w górę tysiące ton piasku, przesłania słońce, robi się ciemno. Przed lotnym piaskiem uciec nie sposób. Wdziera się wszędzie: w usta, uszy, zęby i nos. Po kilku godzinach wiatr nagle cichnie. Wokół ciągną się łańcuchem wysokie na kilka metrów, nawianego z drobnego piasku zaspasy, wyglądem przypominają nasze zaspasy śnieżne nawiane przez wiatr. Przejechać przez nie jest niezwykle trudno. Trzeba czekać na saperów ze spychaczami.

Inną plagą są komary. Są mniejsze od polskich, ale za to bardziej operatywne i dokuczliwe. Tną niemiłosiernie. Mają doskonałe żerowiska w tysiącach kanałów nawadniających. Spać można tylko pod moskitierą. Do tego dochodzą mrówki – małe, koloru rdzawego, wszędobylskie, uciążliwe, niemożliwe do wytepienia. W hotelu ratowaliśmy się przed nimi w ten sposób, że żywność stawialiśmy na stole, którego nogi wkładaliśmy do puszek po konserwach wypełnionych płynem.

W okresie aklimatyzacji część żołnierzy cierpiała na biegunkę spowodowaną zmianą diety lub stresem. Po intensywnym podkarmieniu przez lekarza specjalnym węglem, po kilku dniach mijała. Inna sprawa, na pozór błaha. Otóż piątek jest dniem świątecznym w krajach islamu, w Izraelu sobota, a u nas niedziela. Trzeba się było w tym „połapać” i zapamiętać.

W tak stresogennych warunkach nie przewidziano psychologa. Stąd ciężar kształtowania wysokiego morale żołnierzy i należytej kondycji psychofizycznej spoczywał na dowódcach pododdziałów: kpt. Józefie Słowakiewiczu, dowódcy kompanii transportowej, kpt. Stanisławie Rogali, dowódcy kompanii inżynierskiej, oraz kpt. Wiktorze Krawcu, dowódcy kompanii remontowej.

Nasz sprzęt wojskowy: samochody ciężarowe Star-660, pojazdy specjalne, cysterny, wywrotki, koparki i spychacze w warunkach pustylnych spisywały się znakomicie. Podobnie nasze urządzenia kwatermistrzowskie, namioty, siatki maskujące zdawały tam doskonale egzamin.

W latach siedemdziesiątych w zakresie wyposażenia wojskowego nie mieliśmy kompleksów. Nie byliśmy „opóźnieni”, jak chcieli niektórzy, w stosunku do Kanadyjczyków, Szwedów, Austriaków czy Finów. Liczne wizyty VIP-ów z ONZ oraz delegacje wojskowe i cywilne goszczące w polskim kontyngencie nie szczędziły słów uznania i zachwyty dla naszego sprzętu, urządzeń socjalnych, organizacji życia obozowego oraz wzorowej realizacji zadań logistycznych.

Na Bliskim Wschodzie nie było większych problemów ze sprzętem. Był przede wszystkim problem ludzi, utrzymania odpowiedniej kondycji psychofizycznej. Człowiek musi spać, jeść, umyć się, mieć chwilę odpoczynku. Męczy go temperatura, wiatr pustylny, brak listu

z domu, niemożność wykonania zadania, złości nieuczynny kolega, drażni taka czy inna decyzja przełożonego. Dlatego staraliśmy się stworzyć w bazie głównej Al Ghala jak najlepsze warunki do wypoczynku. Od rana działała rozgłośnia radiowa „Słońce”. Szefem zespołu redakcyjnego był entuzjasta – radiowiec ppor. Janusz Zieliński. Blok programowy przygotowywano nocą. Z nasłuchu Polskiego Radia czerpano informacje z kraju i zagranicy, dodawano audycje własne i aktualne przeboje muzyczne. Spikerkami były urocze pielęgniarki o zniewalająco miłych głosach: Teresa Głębecka. Barbara Skórnicka i Elżbieta Figlus. Pracowały w rozgłośni społecznie, w przerwach między dyżurami w szpitalu.

W kinie letnim codziennie wyświetlano filmy. W klubie była biblioteka oraz telewizor, w którym odtwarzano programy z taśm wideo przysyłanych z kraju. Organizowano zajęcia i różne zawody sportowe w tym „międzynarodowe”, z zawodnikami z innych kontyngentów. Polacy zawsze wygrywali, jedynie w tenisie lepsi byli Kanadyjczycy. We wszystkie weekendy odbywały się wycieczki turystyczne do najciekawszych miejsc w Egipcie i Syrii, które do tychczas mogliśmy oglądać w książkach, na zdjęciach lub filmach.

Kilka słów o sprawach męsko-damskich, czyli o potrzebach seksualnych, które niestety, nie mogły być w tamtych warunkach zaspokojone. Szczególnie mocno odczuwały ten „post” osoby młode. Miejscowe kobiety, Arabki, są dla obcokrajowców absolutnie niedostępne. W żadnym lokalu publicznym, kawiarni, restauracji nie zobaczy się kobiety, nawet w charakterze kelnerki czy sprzątaczk. W dużych miastach zamożne kobiety ubierają się po europejsku, ale same nie wychodzą na ulice. Na wsi nadal obowiązują długie, powłóczyste, czarne galabije.

Z myślą o turystach w dużych miastach, na przykład w Kairze czy Aleksandrii, działają lokale nocne. Od naszych klubów nocnych różnią się tym, że zamiast striptizu jest tu taniec brzucha, a parkiet zastępuje podium na środku sali. Przy stolikach, osłoniętych od siebie, miejscowa elita, bogate mieszczaństwo oraz cudzoziemcy, głównie mężczyźni. Obsługa liczna i bardzo miła, na przykład w toalecie trzech-czterech mężczyzn – jeden podaje mydło i odkręca kran, drugi czeka z ręcznikiem, inny trzyma rolkę z papierem toaletowym, jeszcze inny otwiera drzwi kabiny. Pełny komfort, ale każdemu trzeba dać napiwek.

Około północy orkiestra gra rytmy orientalne, gasną światła, zapalają się kolorowe reflektory na estradzie, wbiega tancerka i rozpoczyna taniec brzucha. Tancerki są pulchne, ubrane w kolorowe szarawary, zdobione cekinami bluzki i zwiewne szale. Tańczą dynamicznie w rytm muzyki, ale za dużo gołego ciała nie pokazują. Po występach zmiana orkiestry, nowoczesne przeboje europejskie. Na estradzie tańczą tylko nieliczne pary. Z boku sali, przy dwóch stolikach siedzą fordanserki. Młode, śliczne, czarnookie dziewczyny ubrane w bluzki i długie kolorowe spódnice. Do tańca zaprasza się je skinieniem ręki. Za każdy taniec czujny kelner dopisuje jeden funt egipski do rachunku. Wyprowadzić fordanserki na zewnątrz, niestety, nie wolno.

Kontyngent polski stacjonował w obozie Al Ghala na przedmieściu Ismailii. Po drugiej stronie miasta mieścił się kompleks obiektów Polskiego Szpitala Polowego UNEF obsługującego wojska ONZ. W szpitalu pracowało ponad pięćdziesiąt młodych, przecudnej urody polskich kobiet. Dostępu do pań strzegło dwóch niezłomnych strażników moralności: komendant szpitala, ppłk dr Henryk Woźniak, i dowódca kontyngentu, płk dypl. Marian Wiczerzak, którzy w kwaterach na terenie obiektów szpitalnych zamieszkiwali. Do hotelu

pielęgniarek mężczyzn obowiązywał surowy zakaz wstępu. Do miasta, do jednostki lub na wycieczki dziewczyny mogły wyjeżdżać tylko zbiorowo, pod ochroną mężczyzn i po wcześniejszym wpisaniu się do księgi na dyżurce.

Raz w tygodniu w obozie Al Ghala w kawiarni „Palmowa” organizowaliśmy wieczorki taneczne, ale na jedną panią przypadało dwudziestu pięciu panów! Ponadto dowódca, płk Wieczerek, zwalczał przypadki – jak to nazywał – parowania się, czyli trwalszego łączenia się w pary.

Początkowo w naszych potańcówkach uczestniczyło też kilkanaście zaproszonych pań z kontyngentu kanadyjskiego. Po pewnym czasie dowództwo Canlog zabroniło im, motywując to regulaminem, który zakazywał szeregowcom i podoficerom wstępu do kasyn oficerskich.

Od czasu do czasu można było przy odrobinie szczęścia „popieścić oko” widokiem pięknej dziewczyny w mundurze żołnierza izraelskiego. Tam jest równouprawnienie, wszystkie niezamężne i bezdzietne dziewczyny służą w wojsku na równi z mężczyznami. Są naprawdę bezczelnie piękne. Dobrze dopasowane, lekko obcisłe mundury wojskowe urodę tę jeszcze uwydatniają.

Stacjonujący obok nas w Al Ghala Kanadyjczycy mieli problem męsko-damski częściowo rozwiązany. W weekendy jeździli po prostu do Izraela, gdzie korzystali z usług kobiet pracujących w odpowiednich lokalach. My, niestety, nie mogliśmy sobie na takie uciechy pozwolić. Nas nie wpuszczano, gdyż nie utrzymywaliśmy w tym czasie z Izraelem stosunków dyplomatycznych. A szkoda.

Polska od przeszło 50 lat bierze udział w misjach pokojowych ONZ. Uczestniczyło w nich do 2002 r. ponad 40 tys. osób. W działaniach w ramach misji ponad pięćdziesiąt osób poniosło śmierć, a liczba rannych i kontuzjowanych jest kilkakrotnie większa. Ilu zmarło już po powrocie do kraju na skutek chorób tropikalnych i innych pozostających w związku ze służbą w misji nie wiem, gdyż przypadków takich nie ewidencjonowano.

Liczyby te przedstawiłem po to, by uzmysłowić osobom nie znającym tych faktów, że realizacja zadań w ramach misji pokojowych ONZ to nie sielanka, lecz służba trudna i niebezpieczna. Wynagrodzenie, jakie w okresie PRL otrzymywali polscy uczestnicy misji, było niewspółmierne do realizowanych zadań oraz realnych zagrożeń utraty zdrowia i życia.

Mimo to ochotników na wyjazdy nigdy nie brakowało. Służba pod flagą ONZ jest zaszczytna, trudna i odpowiedzialna. Jest też niezwykle męską przygodą żołnierską, której się nie zapomina przez całe życie. (...)